

Podobne artykuły

Grzeszy, kto nie wykorzystuje talentów

Źródło: **Dziennik Polski** | Dostawca: **Polskapresse Sp. z o.o.** | 21 marca 2008

Problem czy nieścisłość?

+ Dodaj do Moich Pozycji + Dodaj do Moich Zakładek PDF Eksportuj Drukuj Email

Rozmowa z doktorem Krzysztofem Pawłowskim, prezydentem Wyższej Szkoły Biznesu - National Louis University w Nowym Sączu, laureatem nagrody im. Józefa Dietla przyznanej mu w minioną środę przez Korporację Samorządową w Krakowie

Zastanawiał się Pan, jak wyglądałaby dzisiaj Nowy Sącz, gdyby w 1991 roku nie utworzył Pan WSB NLU?

Nie wiem. Wielu ludzi zwracało moją uwagę na to, że gdyby nie szkoła, to byłoby znacznie gorzej. Zawsze denerwowało mnie, gdy ktoś mówił, że Sącz upada. Bo gdy chodzi o budowanie brandu, bardzo ważna jest wiara w sukces. Nam nie wolno mówić o upadku Nowego Sącza. To nie jest najlepszy czas dla małych i średnich miast. Dlatego musimy być dwa razy lepsi niż całe otoczenie, żeby się przebić. Powinniśmy pracować nad budowaniem w nowych warunkach naszego potencjału konkurencyjnego. Jesteśmy na najlepszej drodze w tej chwili dzięki projektowi Miasteczka Multimedialnego. Moja szkoła niewątpliwie była impulsem dla rozwoju miasta. Gdybym miał spojrzeć z perspektywy czasu, to uważam, że WSB NLU miała najważniejszy wpływ na wzmocnienie marki Nowego Sącza. W tym nowym świecie najbardziej liczą się marki. 90 proc. wartości Coca Coli to marka, która jest wirtualną rzeczą. Dla miasta przekonanie innych, że tu się wszystko lepiej udaje, jest wartością bezwzględna.

Nazwisko Pawłowski to również marka, kojarzona z Nowym Sączem jak nazwisko Romana Kluski, braci Koral, Kazimierza Pazgana...

- Owszem. Kiedyś nasz sądecki AIESEC zrobił konferencję poświęconą marce. Zaprosili ludzi z kilku międzynarodowych koncernów. Zaprosili i mnie, żebym też powiedział o marce. Pewnie spodziewali się, że powiem o szkole. Nie wiem, co mi wtedy odbilo, ale uważam, że to była jedna z odważniejszych rzeczy, jaką w życiu zrobiłem - przygotowałem dziesięćminutowe wystąpienie o sobie jako marce. Słuchało mnie ponad 200 osób. Choć nie mam żadnego oporu przed wystąpieniami publicznymi i wiem, że umiem uwodzić ludzi, wtedy bałem się, czy nie przesadzę. Po kilkunastu zdaniach wiedziałem, że jest dobrze. To był jeden z elementów, który pozwolił mi zbudować u moich studentów pozycję i autorytet.

- Absolwenci WSB-NLU, którzy osiągnęli sukces zawodowy nadal uważają Pana za autorytet, nie pozwolą powiedzieć o Panu złego słowa. Jak Pan to osiągnął?

- Praca ze studentami to najpiękniejsza praca, jaką można sobie wyobrazić, bo ona tak naprawdę dotyka istoty rzeczy. Człowiek dokłada jakąś maleńką cegiełkę do czegoś życia, które przynosi później pozytywne rezultaty. Oczywiście, to wymaga bezwzględnej uczciwości, aż do bólu. Czasami śmieję się, że może nawet bym czasami tak po ludzku pobradziłał. ale mi nie wolno, bo straciłbym cały autorytet u moich studentów i absolwentów. A ponieważ dla wielu z nich jestem punktem odniesienia czy wzorcem, to, gdyby wyszły jakieś brudy, dla tych ludzi byłby to dramatyczny problem, więc czy chcę, czy nie chcę, muszę być święty.

Dla absolwentów Pan jest autorytetem, a kto ukształtował Pańską postawę życiową?

- Wielu ludzi. Niewątpliwie formowała mnie pamięć o ojcu. Tato umarł, gdy miałem dwa lata. Podczas II wojny światowej pomagał Żydom. Dostał na niego jakiś złych Polak. Klasyczny polski dramat - jeden pomaga, a drugi niszczy. I wtedy gestapo zgarnęło tatę i kilku przyjaciół. Wszystkich wypuszczono, ale po trzech - czterech latach żaden z nich nie żył. Wszystkich bito tak, żeby ich doprowadzić do powolnej śmierci. Tato stracił nerki. Jedna pociągająca jeszcze cztery lata. Miałem kilka takich spotkań w życiu, gdy ktoś wspominał ojca i dosłownie wybuchł płaczem, mówiąc: "Tęją tatą uratował mi życie". Zawsze sobie myślałem, że chciałbym, aby ktoś kiedyś z taką sympatią i atencją mówił o mnie.

Może dlatego, że nie miałem taty, przyciągał mnie Kościół. Jako 7-8-letni chłopak trafiłem na cudownego starszego jezuitę, ówczesnego superiora Walentego Majchra. Później w wieku dorosłym wpłynął na mnie ks. Adam Boniecki. Ogromny wpływ miał na mnie arcybiskup Jerzy Ablewicz, który mnie obdarzył niezwykłym zaufaniem i sympatią. Szkolnym autorytetem był dla mnie Antoni Sitek, cudowny człowiek - zerojedynkowy - bez światłocieni. U mnie w rodzinie także nie było żadnych półcieni, jeśli chodzi o rozróżnienie między dobrem i złem. Tak wychowywały mnie moja mama i wspinała niania - Nana.

Córkę wychowywał Pan również w duchu, w jakim Pana wychowano?

- W Kindze odnajduję wiele swoich cech. Mieliśmy bardzo dobry kontakt, gdy była małą dziewczynką. Później, gdy zostałem senatorem, kontakt się rozluźnił, ale ona była już tak mądra, że choć stała się nagłe córką VIP a, wcale jej to nie zaszkodziło. Ostentacyjnie wręcz szukała przyjaciół wśród normalnej młodzieży ze zwykłych rodzin. Z dumą muszę powiedzieć, że dobrze wychowałem córkę.

Czy Kinga Pawłowska ma trochę Pańskiej charyzmy?

- Ma. A jeśli chodzi o umiejętność przyciągania ludzi, to radzi sobie jeszcze lepiej niż ja. I absolutnie nie jest zarozumiała.

Po żonie i córce ma Pan jeszcze jedną wielką miłość - dwuletniego wnuka. To w nim widzi Pan swojego następcę?

- Ja oszalałem na punkcie Patryka. Dla mnie ten chłopiec jest w tej chwili najważniejszą motywacją do tego, żeby długo żyć. Żebym mógł, choć część swojego doświadczenia przekazać jemu. Kinga jest przedłużeniem mnie, ale jemu będę mógł znacznie więcej przekazać niż mogłem Kindze. Choćby poprzez to, że w tym okresie, kiedy mamy dzieci, nie mamy dla nich zbyt wiele czasu, gdyż musimy pracować. Zakładając, że człowiek jednak trochę zwalnia pod koniec życia, to tego czasu na pogłębioną relację jest dla wnuka więcej. Kiedy Patryczek ostatnio rzucił się w moje ramiona ze swoim obłądnym uśmiechem, zrozumiałem, że dla takich momentów warto żyć. Chcę przekazać mu całe swoje życiowe doświadczenie, co on z tym zrobi, to już jego sprawa.

W życiu kilka razy otarł się Pan o śmierć. Czym były dla Pana te doświadczenia?

- Pierwszą katastrofę przeżyłem w 1986 roku na swoje 40. urodziny. Miałem raka. Na szczęście szybko się zorientowałem, operacja była skuteczna, a przerzutów nie było. Chociaż przeszedłem przez piekło naświetlania. Do dzisiaj nie jadam jednego rodzaju ciasteczek, które wtedy uwielbiałem i dlatego żona przywoziła mi je na klinię do Krakowa. Te parę tygodni w instytucie onkologii, to było piekło - najtrudniejsze było oglądanie ludzi, którzy umierali na moich oczach. Ja czułem, że to niesprawiedliwe, bo dla mnie była nadzieja, że stamtąd wyjdę zdrowy, a oni umrą. Gdy tylko doszedłem do siebie, to wyrwałem stamtąd i zapomniałem się w pracy. Zawsze tak było, gdy wychodziłem z ciężkiej choroby. Dziesięć lat później na moje pięćdziesiąte urodziny okazało się, że mam nowotwór - gruczolaka przysadki.

- Kilka dni po usunięciu tego guza poprosił Pan lekarza, żeby pozwolił Panu oglądać taką samą operację u innego pacjenta. Dlaczego chciał Pan to zobaczyć?

- To była ciekawość naukowa, fizyka, którym jestem z wykształcenia. Musiałem zrozumieć i zobaczyć, jak to wygląda. Operujący profesor powiedział, że w życiu nie widział takiego wariata jak ja. Ale dla mnie ważniejsze było, co innego. W trzecim dniu z zabandażowaną głową poszedłem się pomodlić do kaplicy szpitalnej. Akurat spotkałem księdza i spytałem, czy mógłby mi dać komunię. Odruchowo klęknąłem, tak jak zwykle. Przyjąłem komunię i wstałem. Proszę sobie wyobrazić, że w tym momencie puściły mi wszystkie emocje i nerwy - zacząłem straszyć ryczeć - choć ja w ogóle nie płacę. Ksiądz przybiegł, żeby mnie pocieszyć, bo myślał, że jestem beznadziejnie chory i przygotowuję się na śmierć. A ja nie mogłem wydusić z siebie, że płacę ze szczęścia. Bo gruczolak przysadki powodował, że wysiadły mi nogi. I przez wiele miesięcy żona pomagała mi wstać w kościele. Gdy wstałem o własnych siłach, zrozumiałem, że jestem zdrowy...

Czy to właśnie z wdzięczności za uratowane życie ufundował Pan kaplicę przy uczelni?

- Nie. Oratorium to moje podziękowanie za uratowanie szkoły. W 1995 czy 1996 roku przyszła do mnie nasza pani kwestor i powiedziała, że nie mamy ani złotówki w kasie, ani w banku. Ponieważ już nie byłem senatorem, moje możliwości wyżebrania pieniędzy były coraz mniejsze. Wyglądało na to, że szkoła padnie. Wiedziałem, że kolejna rekrutacja przyniesie sukces, ale wtedy sytuacja była dramatyczna. Pomyślałem wtedy, że mogę już tylko się pomodlić. Jak dziecko pomyślałem sobie - Boże pomóż, to ja ci kiedyś kaplicę postawię. Ja wiem, że to jest głupie, bo z Panem Bogiem się nie negocjuje. Ale szkoła ocalała i odniosła sukces. A we mnie to zobowiązanie zostało. Stąd kaplica. Ona potem odegrała ważną rolę. Po śmierci papieża Jana Pawła II, zebrał się tam na modlitwie tłum studentów - ponad tysiąc osób.

Nie żałuje Pan, że w weszłym roku zrezygnował z funkcji rektora WSB NLU?

- Byłem rektorem przez 15 lat. Przy czym rektorowanie to nie tylko bycie liderem, ale szereg rzeczy, na które trzeba poświęcić czas. Od kilku lat miałem poczucie, że stąkam po ostrej krawędzi. Kilka razy byłem blisko upadku. Im szkoła była większa, tym ostrzejszą miałem świadomość, że jeżeli zrobię grubą błąd, to nie znajdę pieniędzy, żeby dziurę po tym błędzie wypełnić. Rozsądnym było zrobić krok do tyłu i wycofać się. Nigdy mi nie odbilo. Nigdy nie miałem poczucia, że jestem najlepszy i niezastąpiony. Decyzja o odejściu była rozsądna i podjęta we właściwym czasie. Nie przeżyłbym, gdybym miał stać się przeszkodą dla działań innowacyjnych innych.

- Co było bezpośrednim bodźcem do odejścia?

- Miasteczko Multimedialne, choć nie ja będą w nim pełnił rolę menedżerską. To zadanie dla młodych - m. in. mojej córki Kingi. Moja rola to wykorzystanie moich umiejętności, szukanie nowych projektów, przekonywanie ludzi do tego, żeby inwestować w nas. Choć nie jestem już rektorem WSB-NLU wcale nie mam więcej czasu.

Czyli jeszcze nie czas na emeryturę rektora Pawłowskiego?

- Absolutnie. Ja nie potrafię sobie wyobrazić siebie na emeryturze. To nie jest tak, że ja się zacząłem oszczędzać. Przeciwnie, ze względu na moje zaszczytne choroby, obawiam się, że gdyby poziom adrenaliny u mnie spadł, mógłbym tego nie przeżyć. Rozsypałbym się. Ja chyba już muszę do końca życia być w takim napięciu. Zresztą byłoby głupie, gdybym w tej chwili nie wykorzystał swoich unikalnych umiejętności, które nabywa się z wiekiem i doświadczeniem. Zadanie, którym się zajmuję, jest tylko znacznie trudniejsze i większe. Powiem więcej - jest szalone. Miasteczko

Multimedialne to przebudowanie Nowego Sącza, zmiana optyki działania i poprzez to przeniesienie szkoły do ligi światowej. Każde z tych zdań jest beznadziejnie trudne.

Już sama nazwa Miasteczko Multimedialne brzmi trochę jak magiczna formuła. W gruncie rzeczy niewiele o nim wiadomo...

- Tak naprawdę tam jest mnóstwo faktów, ale my ich nie możemy pokazać. Każdy z nich jest wart pewne pieniądze. Tu już musimy twardo walczyć o maksymalizację zysków. Idea jest kompletnie odjechana, ale już udało nam się zyskać poparcie rządu i szansę na duże unijne pieniądze na ten cel i ja głęboko wierzę, że będzie efekt.

Bez względu na barwy polityczne zjednuje Pan sobie władze. SLD owski prezydent Nowego Sącza z przewodniczącym rady z PO wręczyli Panu honorowe obywatelstwo miasta, prezydent z PIS podpisał umowę o współpracy. Jaką ma Pan receptę na dobrą współpracę z samorządem?

- Nigdy nie miałem kłopotu ze zjednywaniem sobie poparcia, także w skali kraju. Polityk, który dostaje do ręki szansę rozwojową, jaką była i jest szkoła, jaką jest teraz Miasteczko Multimedialne, musiałby być kompletnym dumniem, gdyby nie chciał wykorzystać tej szansy. A że ta szansa związana jest z Krzysztofem Pawłowskim, no to trudno. Lepiej się podzielić pod sukces niż przeszkadzać w jego osiągnięciu. Zresztą w czasach, kiedy nie wszyscy mi sprzyjali, pokazałem, że mogę być skuteczny, nie niszcząc ludzi. Chociaż nie wszystko i nie zawsze mi się udaje. Życie nauczyło mnie, że każdy człowiek przegrywa od czasu do czasu. Wygrywają ci, którzy mimo porażek potrafią iść do przodu.

Na szalę porażek może Pan z pewnością położyć nieudaną inwestycję w tygodnik "Ozon" Janusza Palikota?

- Rzeczywiście to była porażka. Szkoda mi tych straconych 100 tys. zł.

Włożył Pan w ten interes tylko 100 tysięcy?

- Tak, bo ja miałem tylko dać poparcie i nazwisko. Tygodnik upadł, ale ja nie mam poczucia, że zrobiłem coś złego. To było dla mnie ważne, choć przegrane dzisiaj, niewiadomo, czy ktoś nie wykorzysta kiedyś naszego doświadczenia, żeby stworzyć ten model tygodnika. Przegrałem też elitarny polityczny miesięcznik "Debatę". Parę razy w życiu przegrywałem...

Ale częściej Pan wygrywał. Ma Pan na koncie liczne nagrody: od wczoraj do kolekcji statuetek może Pan jeszcze dolożyć nagrodę im. Józefa Dietla przyznaną przez krakowską Korporację Samorządową. Czym są dla Pana te nagrody?

- Motywują mnie. Po każdej takiej nagrodzie robię sobie rekolleksje zamknięte. Siadam sobie i wypisuję swoje błędy i co jeszcze mogę zrobić lepiej. Ja poważnie przyjmuję przypowieść o talentach, uważam, że człowiek, który nie wykorzystuje do końca swoich możliwości, grzeszy.

Rozmawiała Monika Kowalczyk